

**BOLESŁAW  
LEŚMIAN**

WIEDŹMA

**Bolesław Leśmian**  
**Wiedźma**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843642](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843642)*

*Wiedźma:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

21

# Bolesław Leśmian

## Wiedźma

W noc grudniową, po sutej wieczerzy, wójt zbliżył się do okna i zsunawszy dłonie w kieszenie, gapił się przez chwilę na śnieg, który za oknem uzbierał się we wzgórze puszyste i to błękitniał, to skrzył się znikliwie i niepochwytne odskakującymi od jego powierzchni gwiazdami zaostrzonych w ciemności brylantów.

Światło z izby na świat Boży wybiegłe rozwidniało część wzgórza śniegowego swym sztucznym, do zaduchu izdebnego nawykłym poblaskiem, ukazując w tym miejscu płytki<sup>1</sup> i samotny ślad obutej stopy męskiej z głębszym nieco wydrążeniem od obcasa, w którym ktoś ciekawy czy też nie pilniejszego do roboty nie mający zatkwiał starannie patyk, zawierzywszy go czapką dziurawą i niecałą.

Wójt z brylantów gwiazdzistych przeniósł wzrok na czapkę, jako na przedmiot wybitniejszy, który samotniał na tle śniegu tak, jakby dla braku głowy ludzkiej pod sobą czuł się bezradnie i nie mógł się do nie znanych mu potrzeb przygodnego patyka zastosować.

Wójt, patrząc na czapkę, myślał właściwie o tym, że but, który w śniegu ślad wyźłobił, był zapewne i nowy jeszcze, i mocny, a przy tym od czasu do czasu zdawało mu się, że ot – za chwilę, ni stąd ni zowąd – ów patyk samotny zdejmie nagle dziurawą

---

<sup>1</sup> *płytki* – w pierwodruku: płatki. [przypis edytorski]

czapkę i ukłoni mu się przyjaźnie, a nawet po imieniu go zawoła.

Tak czy owak – wójt gapił się i trawił wieczerzę, rozprawiając językiem po podniebieniu pozostały kędyś w chwilowym zaniedbaniu smak spożytej bezpowrotnie kiełbasy z czosnkiem, która mu zawsze i niezmiennie dostarczała tej samej, a nigdy nie wyczerpanej i nigdy dość nie wyzyskanej przyjemności.

Nagle przypadkowym spojrzeniem zawałęsawszy się ku niebu, wójt zauważył ukosem na niebie jakiś ruch pośpieszny i celowy, ani z miejscem niezgodny, ani w rozsądku ludzkim nie mający żadnego uzasadnienia.

Bacznie tedy skierował wzrok bystry w stronę przyłapanego na niebie ruchu i dla tym ściślejszego widzenia uczynił z obydwu dłoni nad oczyma rodzaj strzechy czy też okapu, aby wszystką siłę wzroku na tym jednym punkcie skupić.

Wówczas stwierdził wyraźnie, że znana we wsi baba – Bartłomiejowa, okraczywszy łopatę, harcuje po niebiosach z rozpuszczonymi na wiatr włosami i powiewa białą koszulą, która na bezbronnym tle szafirów wicherzy się ogoniasto, niby jakaś śnieżycą, furkotem własnych fałd spłoszona, jakby właśnie tym szafirom takiej tylko śnieżycy w grudniu dla zupełnego zadowolenia zbrakło.

Na twarzy wójta zjawił się wyraz zgrozy urzędowej i nieludzkiego zastanowienia, które ją w końcu wykrzywiło w sposób samemu wójtowi dotąd nieznanym i w innych okolicznościach zgoła niedostępnym. Zdawało się, że ta twarz

piegowata, rudymi wąsami z rzadka pod nosem potrząśnięta i płowym ślepiem zaledwo rozwidniona, w poczuciu własnej bezsily oraz oburzenia pokurczy się nagle w pięść bezmyślną i raz na zawsze w sobie zamilkła, aby nigdy już nie odzyskać dawnego kształtu.

Wójt był człowiekiem wyrozumiałym.

Wobec najmniej nawet spodziewanych wypadków zachowywał spokój niewzruszony i przybierał wyraz służbistej, rzeczoznawczej zadumy, jakby wszystko z góry przewidział i jeno zastanawiał się nad wyborem odpowiednich, a jemu jedynie znanych środków przywrócenia ładu i porządku. Wyraz ten odznaczał się właściwie zupełnym brakiem jakiegokolwiek wyrazu, a brak ów nadawał twarz wójta powagę, zabezpieczał od wszelkich możliwych a nieobliczalnych ze strony zwierzchności zarzutów oraz wyosabniał ją wśród reszty twarzy ludzkich, jak wyspę jałową, na której wszystko posiać można, ale nie z jednakim skutkiem.

Gdy inni, słuchając zbyt uczonej przemowy jakiegoś uspołecznionego obywatela z okolicy, poparskiwali nie dotłumionym a pilnie na pogotowiu w gębie trzymanym śmiechem, aby podkreślić i wyróżnić w ten sposób słowa i zdania, najmniej, zda się, owego śmiechu żadne, wójt przez cały czas nieproszonej zresztą przemowy trwał bez ruchu i zupełnym brakiem wyrazu na skamieniałej twarzy tak przykuł do siebie bezdomną nieco uwagę stropionego obywatela, że ten ostatni do końca nie mógł oczu od twarzy wójta oderwać, jakby się

bał, że poza granicami tej twarzy, jako bezimienny przytułek oczom jego usłużnie nastawionej, znajdzie jeno otchłań, która go o zawrót głowy przyprowadzi.

Po wyjściu obywatela zaśmiano się głośniej i zaszurano butami po podłodze. Wójt wszakże powagi swej nie poniechał. Dopiero wówczas, gdy wszystko naokół ucichło, wybuchnął nagle krótkim i gwałtownym, jak wystrzał armatni, śmiechem i natychmiast śmiech urwał, skinieniem dłoni powstrzymując innych od spodziewanego wtóru.

Wyrozumiałość wójta podziwiano powszechnie.

Wyrozumiałość ta jednak pierzchła wobec zjawiska, które przed chwilą zobaczył.

Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, przetarł oczy i zawołał do żony, która z izby przyległej na wołanie przyszła.

– Spójrz no przez okno w samą otworzystość nieba – rzekł głosem zmartwiałym i na wpół jeno z gardła dobytym. – Spójrz i powiedz, co widzisz. To samo, co ja, czy nie to samo?

Wójtowa wyjrzała przez okno i klasnęła w dłonie.

– Bartłomiejowa! – szepnęła, tłumiąc w piersi okrzyk zdumienia.

– Trudno się pomylić – potwierdził wójt, smętnie kiwając głową. – I trudno baby wśród gwiazd nie wyróżnić. Znam ją nie od dzisiaj i gdybym nawet jeno koszulę pustą w niebiosach zoczył, też bym po samym kształcie, oglądania niegodnym, Bartłomiejową poznał. Zamiast łopata śnieg od progu chałupy

odgarniać, do powietrznego truchta<sup>2</sup> czarami ów sprzęt zniewala, aby oczy ludzkie niepokoić i niebu swą obecnością nieczystą bruździć.

Bartłomiejowa właśnie uderzeniem pięty łopatę do biegu znagliła. Włos jej szpakowaty rozpiął się na tle nieba i wił się wzwyż ku gwiazdom, na kształt dymu bujnie uchodzącego z komina. Sztywność łopaty klóciła się nieco ze zmiennym jej kłusem po niebie, a biała koszula spiętrzyła się teraz wezbranymi fałdami, jak mleko, gdy kipiąc, przez brzegi naczynia przelewa się obficie i puszyście.

– Nie darmo ją na wsi wiedźmą przezywają – szepnęła wójtowa do ucha mężowskiego, które słuchało jej szeptów, podczas gdy oczy śledziły uważnie polot baby w niebiosach.

– Kilka dni temu Galas bednarz do chaty wraca – szeptała dalej wójtowa. – Wraca do chaty po nocy. Ogląda się na drogę, a droga pusta. „Pies kulawy nigdy tej drogi nie przebiegnie” – powiada Galas do siebie. Bez żadnej myśli powiedział, aby powiedzieć cokolwiek i głosu własnego w ciszy nocnej dla ciekawości posłuchać. Powiedział i za siebie się obejrzał, jakby go coś tknęło. Patrzy, a po drodze suka biegnie raba<sup>3</sup> i wprost ku niemu się zbliża, w oczy zagląda, do nóg się łąsi. Poznał zaraz, że to Bartłomiejowa. Splunął na nią, a ona ogon pod siebie – i uciekła.

– Po czymże ją poznał? – spytał się wójt, wzroku od nieba nie

---

<sup>2</sup> *truchta* – dziś popr. forma D. lp: *truchtu*. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *raby* – pstrokaty. [przypis edytorski]

odrywając.

– Po ślepiach! – szepnęła domyślnie wójtowa. – Cała się odmieniła, a ślepi w pośpiechu odmienić zapomniała. Po tych ślepiach poznał ją Galas od razu. A gorzej jeszcze sąsiadce się naszej zdarzyło. Bartłomiejowa płaksy na jej dzieci nasłała. Rozpłakały się tak, że rozum na dzień cały utraciły. Na próżno im gęby chlebem pozatykała. Płakały z chlebem w gębie, a w nocy jeszcze i przez sen ryczały. Nad ranem dopiero nacichły.

– I chce się babie czarami duszę paskudzić i zaprzętać, jakby innej pracy na tej ziemi znaleźć nie mogła! – rzekł wójt, z obrzydzeniem wzruszając ramionami i w dalszym ciągu śledząc uważnie zmieniony nieco kierunek zuchwałego lotu opętanej wiedźmy.

– Pewno z tym chceniem na świat przyszła albo je po nocy od jakiej zmory nabyła – szepnęła znowu wójtowa. – Zeszłego roku na wiosnę deszczu ludzie wyczekiwali na próżno. Nie ma deszczu i nie ma. Cóż się okazało? Bartłomiejowa deszcz w nowym garnku glinianym uwięziła i płachtą owinawszy, na piecu garnek ukryła. Zwąchał to kowal, który w pobliżu mieszka. Zakradł się do chaty, gdy baba się kędyś zapóźniła, garnek z płachty odwinął i na własne oczy widział, jak się deszcz z garnka wprost ku niebu uniośł i z nieba po krótkim namyśle na ziemię lunął.

– Lunął? – spytał wójt z goryczą w głosie.

– Lunął! Wszyscy ludzie w polu widzieli, jak lunął.

– Trudna z nią będzie rada – zauważył wójt z westchnieniem.

– Cóż jednak robić? Nie mogę pozwolić na to, aby pierwsza

lepsza baba swym cielskiem byle jakim zaśmiecała powietrze, ludziom uczciwym przynależne. Muszę ją porządku nauczyć i do opamiętania się powołać!

Wójt wyprostował się, stanowczym ruchem dłoni wdział czapkę, narzucił kozuch na plecy i wyszedł z chaty.

Noc mroźna iskrzyła się w powietrzu, szronem sztywniejąc rzęsy i zapachem śniegu rzeźwiąc nozdrza, oddechem parujące.

Księżyc spełnił się w niebiosach.

Drzewa nagie, pustką przeświecając, zdawały się stać otworem na mróz i blask księżycy, jakby je pozbawiono tysiąca furt, których nagły brak narzucał się oku usilnie, niby wielka nieograniczona i nieludzka bezdomność.

Palczaste i migotliwe po wierzchu cienie padały od nich na chropawe płaszczyzny i opuchłe garby wezbranego śniegu, który z chrzęstem, do zgrzytu zębów podobnym, lgnął chciwie do podeszew, aby je zaokrąglić i wywrotnymi uczynić.

Wójt, z głową ku niebu zadartą i z oczyma wpatrzonymi w babę upowietrzoną, kroczył bacznie w kierunku jej lotu.

Niosło ją kędyś poza obręb wsi, ku polom dalekim. Chyża łopata kłusowała niestrudzenie, od czasu do czasu nagłym galopem przesadzając niewidzialne i niezgadnione przeszkody, które, sądząc po gwałtownych skokach, były zapewne jarami, zaczajonymi w niebiosach.

Że też dotąd jeszcze babie opętanej żmudne cielsko na mrozie od kości starych, jak tynk od ściany, nie poodpadało! – pomyślał wójt, kozuch na plecach odruchem ramion poprawiając. –

Wściubiła się do nieba bez pytania, jak, nie przymierzając, świnia do rozwartego na oścież kościoła. Tak jej z tym niebem do twarzy, jak diabłu z różańcem na szyi. I gdyby przynajmniej krasą dziewiczą mogła się na wysokościach poszczycić, ale zgrzybiałe to i już po brzegach murszy<sup>4</sup>, a jeszcze chce się oczom ludzkim z takiego posterunku po nocy ukazywać!

Wójt niemal z żalem i wyrzutem głębszym zwracał się w myślach do baby, której nie chciał przed czasem wołaniem od dołu spłoszyć.

Szedł oględnie, oddychając powietrzem, które w pobliżu warg twardniało mu i opór mroźny stawiało, ilekroć chciał go zaczerpnąć.

Cichy, do najścia snu białego podobny śnieg jał nagle opadać zwiewnymi ochłapami, których jasne powierzchnie, powoli ważąc się w ciemności, olbrzymiały w oku, jeśli jedną z nich upatrzyło sobie trafem dla dłuższego oglądania.

Śnieg łechtliwie osiadał wójtowi na wąsach, niepokoił nozdrza, a czarne gałęzie nagich drzew podsnuwał od jednej strony jakby samą tylko, nic w sobie, prócz własnej białości, nie mającą barwę, która swą obecność ujawniała dopiero w chwili zetknięcia się z drzewami.

Trwał wszakże niedługo. Przyszedł nagle i tak samo ustał. Powietrze, wszelkiego wiatru wyzbyte, ociepliło się w swym znieruchomieniu.

---

<sup>4</sup> *murszeć* – próchnieć, psuć się, sypać się; *murszy* – dziś popr. forma: *murszeje*.  
[przypis edytorski]

Wójt, nie tracąc z oczu zacierzewionej w swym locie baby, wyszedł już hen za kołowrót i zabrnął w pola, śniegiem bezbrzeżnie ku krańcom świata biejąc.

Po ich równi nieograniczonej ściagały się wzajem olbrzymie, ale niewyraźne cienie, których przyczyny nie można było dostrzec ani w niebie, ani na ziemi.

Śnieg to świtał, to dniał od księżycyca i zdawało się, że w nim co chwila migają całe tygodnie, obszarem pól pochłaniane i do reszty świata nie docierające.

Nie było naokół żadnej przegrody oczom, prócz chyba w oddali samotnego pnia przygodnej brzozy, która sterczała nad brzegiem zaśnieżonego strumienia.

Ku tej brzozie wiedźma lot swój nagle skierowała, i wójt w tę samą stronę natychmiast podążył.

Idąc zapadał się w śniegu i musiał kozucha, jak spódnicy, unieść, aż wreszcie dobrnął do wspólnego z wiedźmą celu.

Stanął pod brzozą, nad brzegiem wartkiego jeszcze od spodu strumienia, na którym cienkie skrzepy lodu, podważanego zgłuchłym chlupotem usilnych fal, to czerniały, to srebrniały w księżycu.

Sękaty cień pnia brzozowego wkroczył mu na piersi i na twarz, przekreślając jedno oko przyjemnym pasmem niedokuczliwego mroku.

Wiedźma, czy to swym polotem zbyt zajęta, czy też w otchłanie ponad sobą wpatrzona, nie dostrzegła go dotąd, a może dostrzec nie chciała.

Krażyła teraz ponad nim – dookoła strumienia, niby jastrząb żeru szukający.

Warkocz jej furkotał w powietrzu, niby tkanica żywa, która nie może swych włókien rozwianych pozbierać i w kształt jeden zgromadzić.

Krażąc nieustannie, utkwiała nagle w miejscu i na oślep spadając ku strumieniowi, osiadła w oka mgnieniu na śniegu, niby polatucha<sup>5</sup> nocna, własnej potworności nieświadoma.

Jej zeszywniała koszula skrzyła się wzorzyście diamentowymi pstrocinami czepliwego szronu, a łopata, zgęstniałym mrozem suto omszona, jaśniała niby berło z matowego srebra wykute i zgoła nierzeczywiste...

Wójt poczuł z bliska to zakazane a niechlujne życie, które w zdyszanej wiedźmie zatrzepotało się nagle, jak kokosza w ciemnym kurniku.

Podsłoczył ku niej skwapliwie i dłonią wprawną ułapił co prędzej za gardło, które mu w rękach zwężyło się i wydłużyło jednocześnie.

– Poczekaj no, psiawelno! – zawołał, do oczu jej zazierając. – Wytataruję ci skórę za tę twoją jazdę bezwstydną po niebie!

Wiedźma nic na to nie odrzekła, jeno schwyte gardło w rękach mu nieco dla własnej wygody poprawiła.

---

<sup>5</sup> *polatucha* – wiewiórka latająca, ma po bokach między przednimi a tylnymi łapkami fałd skórny, ułatwiający skoki ślizgowe. Pokonuje w powietrzu odległość do 50 m. Występuje w lasach od południowej Finlandii, przez Rosję, po północną Japonię. Jeszcze w XIX w. występowała również w Polsce, w Puszczy Białowieskiej. [przypis edytorski]

– Czyś wody święconej w gębę nabrała, że milczysz jak niemowa przed trybunałem? – zawołał znowu wójt, wypuszczając gardło i przenosząc dłoń bezpośrednio na kark baby. – A może siły w sobie ciułasz, aby znowu upowietrzyć i sprzed nosa mi pierzchnąć niespodzianie? Jakem wójt, na tej tu brzozie cię obwieszę, zanim pomyślę, co mam dalej z tobą czynić!

– Zabij mnie – szepnęła wiedźma głosem ochryplym – ale pozwól pierwiej łykiem gorzałki śmierć przedwczesną poprzedzić.

Na wspomnienie gorzałki wójt złagodniał i językiem cmoknął tak, jakby chciał przy tym korek z odwróconej stosownie butelczyny uderzeniem dłoni wyłuskać.

– Gorzałki nie zabraniam, bo ani to w mojej mocy wójtowskiej, ani w moich zamiarach ludzkich – rzekł, poważniejąc. – Śmierć bywa przedwczesna, ale gorzałka – nigdy. Dziwno mi jeno, że ci się łba upartego takie wybryki czortowskie trzymają, chociaż starość już kości twoje pogruchotała, a skórę zwiąca zaczęła, jak płótno, z którym się w drogę daleką wybiera.

– Choć lat trzysta, ale dusza ognista! – odrzekła przebiegle baba i podała nagle wójtowi butelczynę najprawdziwszej gorzałki, która się w jej ręku ni stąd, ni zowąd ukazała.

– Co mam na myśli, to i na języku, a co na języku, to i w dłoni – dodała, podrygiem ręki przymuszając ponętą butelczynę do krygowania się i do tańca, jak czasem matka niemowlę dla tym lepszego okazania jego urody przymusza.

Wójt zastanowił się nad tym, skąd się tak nagle wzięła mizdrząca się doń wymownie butelczyna, i w pierwszej chwili oglądał ją z niedowierzaniem i z przykrym uczuciem narzuconej sobie samemu niechęci. Lecz wkrótce usunął na bok wszelkie podejrzenia i pokonał uciążliwą niechęć ze względu na mróz, który tak się w nim panoszył i tężył, jakby chciał mu kości spaczyć i na miał utrzyć bezlitośnie.

Wyciągnął tedy dłoń po butelczynę, a choć była niewielka, oburącz ją do ust przypiął i głowę w tył dalej, niż tego butelczyna wymagała, odrzuciwszy, wysączył zawartość do dna pierwej, niżli z ostatnią kroplą wyczuł próżnię szklanego<sup>6</sup> a obojętnego już wnętrza.

Nie domyślił się wójt, że wiedźma zaprawiła gorzałkę lubczykiem, który do miłości zniewala, i duryjem, który do szału podnieca. Czuł jeno, że dobroczynny upał wypitego trunku zagrzewa mu gościnne kryjówki zziębłych wnętrzności i zagarnia coraz szersze i dalsze okolice.

Otarł wąsy dłonią i chuchnął dla smaku zroszonymi cenną wilgocią wargami.

Wiedźma milcząc, patrzyła mu w oczy i, zda się, badała, czy lubczyk i duryj podziały już należycie.

Podziałał snadź<sup>7</sup> i jeden, i drugi, wspólnymi siłami gotując wójtowi niespodziankę, którą by nawet karą czyścicową zastąpić wolał, gdyby mu wybór dano zawczasu.

---

<sup>6</sup> szklanny – dziś popr.: szklany. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> snadź (daw.) – przecież; widocznie. [przypis edytorski]

[Brak kilku kart rękopisu]

I wójt pięścią żarliwie zwartą grzmotnął się w piersi, jakby właśnie w ziemię grzeszną, o której wspomniał, uderzył.

Pogmatwały się w nim wszystkie, jakiegokolwiek miał w długoletnim posiadaniu, uczucia i myśli.

Zdawało mu się, że wśród tych obszarów śnieżnych pozbawiono go nagle urzędu, odartło ze czci i огоłocono z powagi, bez której czuł się jak bez głowy na karku. Stratę powagi odczuł najdotkliwiej, bo wraz z nią opuściła go zdolność należytego obcowania z własną duszą i służbistego górowania ponad zwykłym poziomem zdarzeń i wypadków.

Próbował samego siebie odpowiednim rozkazem pohamować, ale nie mógł, wiedząc z góry, że żaden, nawet wójtowski, rozkaz lub pogrożka nie powściągnie go od niezwalczonej pokusy.

W twarzy jego było coś z owej osamotniałej pustki pozbytego wskazówek zegara, który na próżno nałogowym ruchem sprężyn usiłuje odmierzać dawny ład posłusznych mu niegdyś, a nagle zatraconych godzin.

Starał się przydać tej twarzy urzędowy wyraz bezosobistego zastanowienia w tej nadziei, iż z niezawodną pomocą tego wyrazu uda mu się własną duszę do porządku powołać, ale dusza z tym wyrazem nie chciała się spokrewnić i przebywała nadal w swym grzechu.

I była chwila, że twarz wójta pokryła się śmiertelną bladością. Przestał być wójtem.

Wiedźma obrzuciła go wzrokiem domyślnym i niespokojnym.

– O czym tak sumujesz, że liczko ci osowiało i pobladło, jakbyś chciał tą bladością chatę własną pobielić? Wróc do siebie i nie lękaj się onego powrotu, bo zastaniesz duszę na miejscu, a ciało – na oskrzydleniu.

– Nie mam do czego i do kogo z mej nieprzytomności powracać – rzekł wójt posepnie. – Anim ja człek Boży, ani wójt, ani gospodarz, jeno stworzenie bezimienne, które z lękiem i zgrozą nazwy własnej od kogoś wyczekuje.

– Przyzwyczaj się do myśli, żeś mój, i myśli tej w sobie nie unikaj – odparła wiedźma. – Unikając siebie, Boga ominiesz, że od niechcienia Imię Jego wspomnę na śniegu dla samej białości obojga.

Boga wspomniała! – pomyślał z ulgą w sercu wójt i spojrzał na śnieg, że to właśnie z tego śniegu wspomnienie owo wyszło.

– Biało tu, biało, jakby się w każdym oku łabędź inny napuszył, lewy – w lewym, a prawy – w prawym – szepnęła wiedźma. – Ot, obydwą te łabędzie oddałabym za to, aby się z tobą w czerwonym ogrodzie u samej czerwieni spotkać!

– A dalekoż ów ogród czerwony? – spytał ciekawie wójt.

– Nie ma go wcale – odparła wiedźma – ale chce się, aby przynajmniej na chwilę w rozmowie naszej poistniał.

– A chce się – zgodził się wójt, dziwiąc się temu chceniu.

Wydało mu się, że ogród czerwony poistniał właśnie w jego oczach i znikł, strzępami cudacznej czerwieni osypując się w mrok nocny.

– Mróz mi w kościach trzeszczy, jak w płocie chruścianym –

rzekł po chwili, dłońmi siebie po ramionach na krzyż uderzając.

– Tańcem cię zagrzeję – pochwyciła starucha, obejmując go w pół do tańca.

– Gdzież mi tam teraz do tańca! – drożył się wójt i wzbraniał wstydliwie. – Nie wójtowskie to zajęcie i osobie mojej nie przystoi.

– Nie zarzekaj się tańca, póki weń nogami nie utrafisz! – upierała się baba, obskakując wójta dokoła.

Wójt chronił się jeszcze natarczywym umizgom wiedźmy i odwracał się do niej tyłem w chwili, gdy właśnie, przytupując nogami, do płasów go zachęcała.

Wszakże opór wójta słabnął, bo czar, który szedł nań od staruchy, zwiększył się jeszcze, gdy ujrzał, jak się jej nogi do tańca rwą, niby dwa psy, z łańcucha spuszczone.

Struchlał jeno na myśl, że resztę swej powagi durnym płasem po obszarach śniegu rozsieję. Zdawało mu się, że na widok tego płasu Rany Boskie w białym śniegu się pootwierają, aby mu przypomnieć, że od nich swój rodowód ma, a wbrew temu rodowodowi w objęciach rozpląsanej wiedźmy ducha człowieczego pogrzebał.

Lecz zgroza wójta pierzchła w oka mgnieniu, gdy wiedźma, w pół go ująwszy, warkoczem swym otuliła, aby tym płaszczem osłonić wszelką zgrozę i obawę.

Lubczyk serce mu zmiękczył, a duryj uderzył do głowy i tak się tam zakotłował, że jednocześnie i nogi pod wójtem zakotłowały się skocznie, zdradzając niedołączną nieco, bo zgoła

przygodną ochotę do nie znanego im tańca.

Pewno już tańczę... – pomyślał z niepokojem i stwierdził, że przebiera nogami, jakby na wyprzódki lewą nogą prawej umykał.

Splunął więc tylko na stronę dla zaznaczenia pierwotnego względem tańca stanowiska – i zawirował po śniegu, starając się na chybił-trafił pogodzić swe gwałtowne poskoki z rozszalałymi podrygami wiedźmy.

Wbrew oczekiwaniu płaśał lekko i wprawnie, podniecany siłą tajemną, która w tej chwili wyłącznie niemal poruszaniem nóg jego była pracowicie zajęta.

Zdawało mu się, że nie tylko on na tych polach śnieżnych, lecz i pola śnieżne pod nim tańczą, wirując i poskakując, i uderzając o jego stopy pierwej, niż się tego spodziewał.

Wirował po powierzchni śniegu, nie zapadając się w jego puchy i nie nadłamując kruchej powłoki szronistego opancerzenia, bo wiedźma niosła go zwiewnie, odskakując od śniegu z radosnymi okrzykami, jak gęś, gdy z wielkim hałasem do niskiego lotu się zrywa.

Warkocz jej furkotał, niby latawiec, wichrem szarpany, a srebrna od mrozu łopata biegła przodem w rozszalałym galopie, równając zawczasu wydymiska śniegowe i zasypując jary, błękitnym cieniem dymiące.

– Dyszysz? – szepnęła wiedźma, porywając wójta w niespodzianą dlań stronę świata, dokąd ją zachcianka taneczna nagle skierowała.

– Dyszę – odszepnął wójt, uzręczniając się do nowego

poskoku w powietrzu, którego od śniegu nie odróżniał, gdyż wespół ze śniegiem białało mu w oczach, tańcem obłąkanych.

– Tańcz, póki sił! – zawołała wiedźma, tuląc go do siebie.

– Często tak tańczysz? – spytał wójt i czyniąc po raz pierwszy w życiu nie znany mu dotąd piruet, zdziwił się, że przyszedł mu z taką łatwością.

– Jak się zdarzy – odparła wiedźma niedbale.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.